

TEATR LUDOWY

Nr. 32

AKTOR BEZ ZAJĘCIA

SCENY KOMICZNE W JEDNEJ ODSŁONIE.

AL. P.



Cena egz. 85 fen. — 3 egz. za mk. 2,—.

Prawo przedstawiania na scenie zyskują Towarzystwa tylko przez nabycie liczby egzemplarzy odpowiadającej ilości ról.

POZNAN.

Nakładem i czcinkami Drukarni i Księgarni Sw. Wojciecha.
New-York. The Polish Book Imp. Co. Inc.

Nakład Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Niezbędny podręcznik dla urządzających teatry amatorskie,
obchody uroczyste, zabawy, zebrania etc.

JAK URZĄDZAĆ WIDOWISKA

i obchody uroczyste w stow. polskich.

Kilka wskazówek

oraz

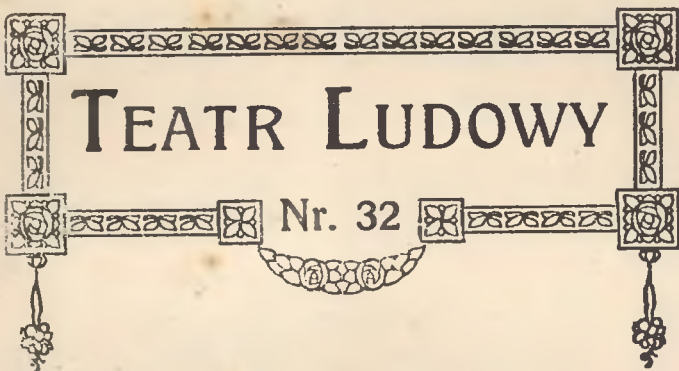
wybór pantomin i żywych obrazów z tekstem i bez tekstu.

Opracował **M. Zagórski.**

Str. 151. Cena mk. 1,60.

Na czyjeż barki spada ciężki obowiązek bawienia członków stowarzyszeń i dostarczania im rozrywki częstej i szlachetnej? Oto po większej części na ludzi pracy, znękanych troską całodziennego trudu, pozbawionych często pomysłowości, na zdobywających się i tylko na ślepe i często nieudane naśladownictwo. Dla tego też w gronie osób urządzających widowiska publiczne, zabawy i obchody, odczuwać się dawał coraz to częściej brak informatora, z którego dałoby się zaczerpnąć niejeden nowy pomysł i w miarę sił i środków przystosować go do danej okoliczności.

Mając to na uwadze podjęliśmy się wydania pracy niniejszej dla pożytku stowarzyszeń naszych, dołączając uwagi dla dyletantów, w nadziei, że z uwag tych niejeden skorzysta i książkę powyższą uzna za użyteczną dla siebie i swoich.



AKTOR BEZ ZAJĘCIA

SCENY KOMICZNE W JEDNEJ ODSŁONIE.

AL. P.

Piętkiewicz Aleksander



Prawo przedstawiania na scenie zyskują Towarzystwa tylko przez nabycie liczby egzemplarzy odpowiadającej ilości ról.

POZNAŃ. [ok. 1918]

Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha.
New-York, The Polish Book Imp. Co. Inc.

LPI 3 f

405763

I

OSOBY:

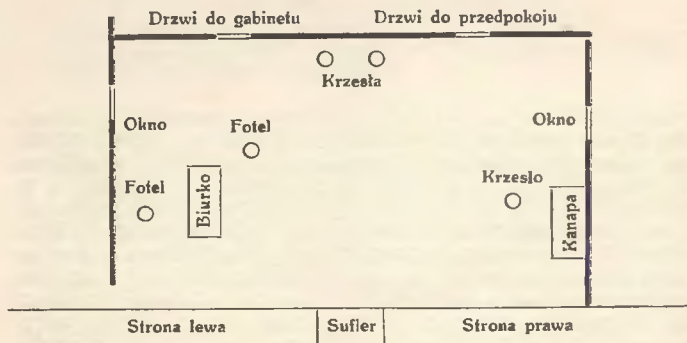
Dmuchala, dyrektor teatru prowincjonalnego.
Apolinary Kawalarski, aktor bez zajęcia.
Narcyz Pacanowski, członek administracji
teatralnej.

Rzecz dzieje się w kancelaryi dyrektora teatru.

k-75/278^u
11.3. 12/

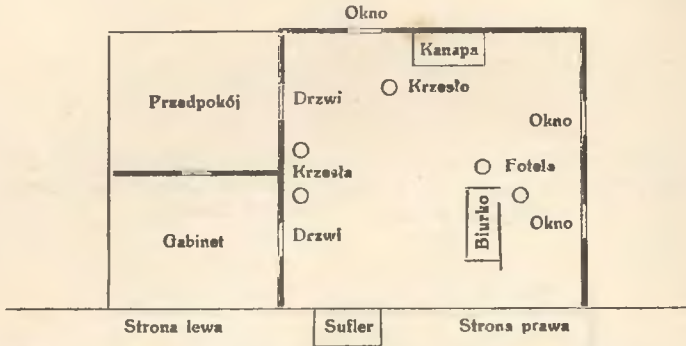


Scena przedstawia kancelaryę teatralną. Odpowiednio do tego, jakie chcemy na widzach wywołać wrażenie, scenę urządzić można w dwojaki sposób.



Sposób pierwszy: Za podniesieniem zasłony widz ma przed sobą pokój; jest to kancelarya dyrektora. W pokoju tym po lewej stronie od widza w pierwszym planie okno, przy niem biurko, zarzucone papierami i zeszytami; między oknem a biurkiem fotel dyrektora, po drugiej stronie biurka fotel dla interesanta. W ścianie tylnej dwoje drzwi: z lewej do gabinetu, a z prawej do przedpokoju. Pod ścianą prawą na przodzie sceny kanapa. W miejscach wolnych pełno rupiec teatralnych jak: zbroje, pałasze, hełmy, kapelusze z piórami, buty z ostrogami i t. p. Na ścianach wisi garderoba: włoska, hiszpańska, trykoty i watówki.

Sposób drugi, który może mniej odpowiada wymaganiom utartej techniki scenicznej, ale za to więcej nadaje się do rozweselenia widzów, jest następujący:



Scena przedzielona jest ścianą ustawioną prostopadle do widza tak, że przedstawia dwa pokoje. Pokój po prawej stronie od widza, to właściwa kancelarya dyrektora, urządzona w szczegółach tak samo jak w poprzednim ułożeniu, z tą różnicą, że ściana tylna sceny, ułożonej wedle sposobu pierwszego, jest teraz ścianą boczną z lewej strony widza; okno i kanapa są pod ścianą tylną. Przedzielenie sceny na dwa pokoje trzeba w ten sposób skutecznić, aby gabinet był mniejszy od kancelaryi. W tym to gabinecie przebiera się „Aktor bez zajęcia“, a widzowie patrząc jak to uskutecznia, jak udaje różne osoby, mogą się uśmieć niemało.

Scena 1.

Dyrektor, Narcyz.

Dyrektor (*stary aktor, długie włosy, twarz wygolona, binokle na nosie*):

A jesteś Narcyzie; cóż mi powiesz dobrego?
(*Siada za biurkiem na fotelu.*)

Narcyz (*zmęczony*).

Nic, panie dyrektorze. Dowiedziałem się, że dyrektor teatru ludowego z ujeżdżalni zabrał nam Pomadkiewiczów. Uf! (*Pada na krzesło.*)

Dyrektor.

Jakto? Nie może być! Jakim sposobem?

Narcyz.

Podwyższył gażę jej i jemu o dziesięć koron. Naturalnie wolą zostać na miejscu, niż jechać z nami na prowincję.

Dyrektor (*zrywa się*).

A to kanalia! Najlepsze siły! Najlepsze siły mojego teatru. Jestem więc zrujnowany! Pięćset koron już wydałem, mam koncesję, garderobę, bibliotekę, dekoracje, a nie mam aktorów; co tu robić?

N a r c y z.

Panie dyrektorze, to się zrobi. Przypomina pan sobie Kiczkego, tego z czerwonym nosem, co to statystował w teatrze miejskim, gdy go z Grandu wyrzucono? On tam był pierwszym kucharzem.

D y r e k t o r.

Kucharzem?

N a r c y z.

Przecie pan dyrektor sam się nim zachwycał i ręczę, że na komika lepszego nie znajdzie. Panie dyrektorze, już za sam zewnętrzny jego wygląd, za ten jego nos, za ten brzuch wielki, warto mu płacić. A gęba.... no, sam Coquelin-by mu jej pozazdrościł. Zaangażowałem go w imieniu pana dyrektora za pięćdziesiąt koron.

D y r e k t o r.

Możebyś zaszedł do szkoły dramatycznej i zapytał się, czy tam niema kogo dla mnie.

N a r c y z.

Byłem. A jest jedna, dobry numer; myślałem, że pękne ze śmiechu. Jak ułał na starą romantyczną Bogusławskiego. Ale....

D y r e k t o r.

Co?

N a r c y z.

Chce grywać tylko same liryczne amantki i podlotki. — Reszta, to same państwo z porządnymi domów i uczą się tylko dla własnej przyjemności.

Dyrektor (*chodząc*).
Co tu robić?

Narcyza.

Aha! zapomniałem. Listonosz dał mi tę paczkę listów dla pana dyrektora.

Dyrektor.

Daj. (*Bierze listy i siada na swoim miejscu; czyta list w milczeniu; potem mówi do Narcyza, który wśród tego przegląda trykoty*). Ha! jakiś murarz nie ma roboty, możeby się też przydał na kome-dyanta! (*Czyta znowu w milczeniu a za chwilę mówi*). A co, nie mówiłem? (*Czyta na głos*). „Przydałbym się na scynę i do czego inszego tyż, i jakbym odbył swoje komedye, tobym i piece i gzymzy trzymał w porządku, a jak gdzie co obryckane, tobym za-trynkował“. (*Mówi*). Dobrze! Dobrze! Jak będzie potrzeba tynkowania, to zamówimy wtedy arty-
stę — (*rzuca list, czyta w milczeniu drugi, po chwili mówi*). — Urzędnik jakiś utyskuje na swego syna, że się puścił na łajdactwo. Szczerze ubolewam, lecz mnie to nic nie obchodzi. (*Rzuca list, a bierze inny*). O! zamaszycie! obcesowo!... Dureń jakiś. (*Czyta na głos*).

„Panie dyrektorze, właścicielu pałaców, zam-ków, lasów, ogrodów, gór i rzek i oceanów, miast, krajów, wysp, innych dóbr ziemskich i niebieskich na kulisach malowanych; władco maszyn do robienia wiatrów, deszczów i piorunów; właścicielu brzu-chów, garbów, bród i wąsów przyprawianych, oraz surdutów, szlafmyc, szlafroków, spodni, nogawic, rękawic, majtek, butów, pończoch, pantofli, krawatek, koszul i wszystkich innych tego rodzaju dekoracyi teatralnych“....

A to błazen jakiś!

Narcyz.

To pewno jakiś literat.

Dyrektor (*czyta dalej*).

„Tytuł trochę długi, ale łaskawy panie i tak go skróciłem, jak sam wiesz o tem najlepiej.

„Zacząłem zaś tak zupełnie słusznie, bo słyszę, że wszystko gotowe, tylko aktorów brak.

„Zaczem ja niniejszem ofiaruję się naprzód listownie, a wiedząc z góry, że przyjęty być muszę, stawię się bezzwłocznie“ ...

A to ciekawe!

Narcyz.

Panie, to literat.

Dyrektor (*czyta dalej*).

„Jestem prawdę powiedziawszy, — co jest moją naturą — indywiduum zupełnie zrujnowane, bankrut fizyczny i moralny, ale sądzę, że właśnie tego rodzaju istota jest najodpowiedniejsza dla Pana w szczególności, a w ogólności na aktora“. (*Mówi, zwracając się do Narcyza*). On nas obraża.

Narcyz.

Troszeczkę!

Dyrektor (*czyta*).

„Bo przecież aktor, jeśli ma być wszechstronny, a stąd użyteczny scenie, nie może być specjalistą w swem życiu — n. p. tylko opojem. O, broń Boże: to byłoby bardzo jednostronne, to nazbyt małe pole; ale ma być łajdakiem, zdrajcą, mordercą, szpiegiem, zdziziałem jestestwem, kretynem, — a przytem i szlachetnym, świątobliwym, czułym, gorliwcem,

bigotem, patriotą wszystkich odcieni i hasel, hero-sem, olbrzymem, ideałem, potworem piękna i wielkości!“ (*Mówi do Narcyza*). Co za oryginalny facet!

N a r c y z (*cerując trykoty*).

Panie dyrektorze, on nam się przyda.

D y r e k t o r (*czyta*).

„Takim, panie, amalgamatem, mieszaniną czy salcesonem artystycznym, jestem ja! Życie moje, to jedna scena tragiczna, komiczna i nastrojowa: wyprawiać więc sceny bez końca, to żywioł mój, to pęd i siła! przewyższająca wszelkie fabrykaty na tem polu!“ (*Mówi*). — A to okaz! Drab czy blagier, albo naprawdę coś niezwykłego!

N a r c y z.

Spróbować nie zawadzi, weźmy go.

D y r e k t o r (*czyta*).

„Zaczem bezzwłocznie stawię się i naznaczam dziś 11 przed południem na przedstawienie siebie i próbę!“ — (*Rzuca list o stół i mówi*). A tego już za wiele, on naznacza! Zarozumialec, osioł jakiś, właśnie nie przyjmę. (*Patrzy na zegarek*). Ach, jedenaśta. (*Biegnie ku drzwiom do przedpokoju, zamyka je i wraca do biurka*). — Czeka panie artysto, choćby do jutra, nie wpuszczę się! Impertynent!

(*Słychać pukanie do drzwi przedpokoju.*)

N a r c y z.

Panie dyrektorze, ktoś puka.

D y r e k t o r (*nadsluchując*).

To on! (*Daje znak Narcyzowi, aby zachował się cicho; pukanie do drzwi coraz natarczywsze*).

Scena 2.

Ciż sami i aktor (za sceną).

A k t o r.

Czy jest tam pan dyrektor?... Próby niema, bo aktorowie się dopiero zgłaszają, — a co za dobór! tragiczni! komiczni! suflerzy! totumfaccy, stójkowi, co kto chce.... (*Milczenie — po chwili woła natarczywiej.*) Otwierać natychmiast! — Niema nikogo w domu, czy co? Naznaczyłem przecież 11-tą — nie odpowiedział dyrektor, widocznie pragnie mnie poznać.... O! przecież żywa dusza!

D y r e k t o r.

Spotkał kogoś!

N a r c y z.

Pewno Józef.

G ł o s (*inny*).

Czego pan tu chce?

D y r e k t o r.

A, Józef — gotów mu głupiec wypaplać, że jestem. (*Idzie ku drzwiom na palcach i wciąż nadsluchuje pilnie*).

A k t o r.

Jest! więc dobrze... tu zamknięte.... Co?... nic nie szkodzi, mnie wszystko jedno a nawet lepiej; dziękuję, dziękuję.

Narcyz.

Józef go prowadzi do gabinetu.

Dyrektor.

Czy go lichy tu przyniosło?

Aktor (*za sceną — za drzwiami do gabinetu*).

O nie trzeba! Zbyt wielka usłużność. sam siebie obsługuję, a zawsze za darmo.

(*Wchodzi do gabinetu, ubrany we frak, w cylindrze na głowie, zarost ogolony, ogromny toboł pod pachą. — Dyrektor biegnie ku drzwiom gabinetu, aby drzwi zamknąć na klucz; w pośpiechu zawadza o krzesło i przewraca je; równocześnie otwierają się drzwi od gabinetu, i ukazuje się w nich aktor*).

Scena 3.

Dyrektor, Narcyz i aktor.

Aktor (*składa toboł w gabinecie za drzwiami i wchodzi na scenę*).

O! zapóźno barykady stawiać, gdy już siły wtargnęły do wnętrza! Lecz nie bój się, czcigodny władco świątyni sztuki, — to siły aktorskie, nie rewolucyjne.

(*Narcyz zamyka drzwi od gabinetu i z boku przygląda się aktorowi*).

Dyrektor (*opanowując zmieszanie*).

Jak pan śmiesz tędy? ...

Aktor.

O łaskawco! to wszystko jedno czy tędy, czy owędy, byle punktualnie o 11-tej, jak naznaczyłem.

Dyrektor.

Za co mnie pan masz?...

Aktor.

Za najzacniejszego w świecie dyrektora całego nieżywego inwentarza teatralnego, bo żywym inwentarzem twoim, to my! w szczególności ja, sztuka czy okaz czystej, najlepszej rasy aktorskiej.

Dyrektor.

Panie, bo mi brak cierpliwości!

Aktor (*z współczuciem*).

Oh! to smutne, to bardzo zła wada u pana dyrektora, ale sądzę, że to tylko symulacja bardzo realna, by pokazać energię — tak konieczną u dyrekcyi.

Dyrektor.

Wynoś się pan stąd! Waryat! Człowiek bez żadnego wychowania!

Aktor.

Lary fary! Wychowanie to konwenanse dyrektorze! Czyste konwenanse!

Dyrektor.

Zarozumialec bezczelny!

Aktor.

Za mało panie! nadto głupiec, szarlatan, wyrzutek z pod ciemnej gwiazdy! Kretyn, kabotyn, stek społeczeństwa, jednym słowem artysta w całej swej dekoracyi: czyli na nowiu, we wszystkich kwadrach i w całej pełni.

Dyrektor (*ostro i stanowczo*).
Precz! Za drzwi!

Aktor.

O! tak łatwo to nie pójdzie, chyba obaj pójdziemy. Obcesowo zawsze wygrywałem sprawy i wygram jeszcze niejedną. Kto nie śmiały, nic nie zrobi. Dzielność czyli bezczelność, ona tylko pcha wciąż naprzód tłumok tego świata na nowe tory... Nie chcesz dzielnych pomocników do swego dzieła? A cóż znaczyły w dziennikach pańskie ogłoszenia, że poszukujesz aktorów? Cóż to ma do rzeczy, żem wszedł tędy czy owędy? Jeśli wada, to jedyna! zresztą same cnoty i zalety; znajdziesz we mnie wszelkie stopnie uczuć najszlachetniejszych, począwszy od zera, aż do najwyższej ciepłoty Celsiusza, Reaumira czy Farenheita — ja zawsze według tego ostatniego je mierzę. — Śmiało więc do dzieła, panie dyrektorze! próbuj mnie, a nie sparzysz się; ja muszę być w twoim teatrze, pod twą egidą sięgnąć po wawrzyny.

Narcyż (*do dyrektora nieznacznie na ucho*).

Panie dyrektorze, bierzmy go!

Aktor.

Więc do rzeczy!

(*Siada i rozkłada się na krześle*).

Dyrektor (*patrzy na niego, rusza ramionami — po chwili*).

Dobrze! tylko krótko!

Aktor.

O, jak najkrócej.

Dyrektor (*siadając na fotelu*).
Więc pan artystą?

Aktor.

Tak.

Dyrektor.

Dramatu czy komedyi?

Aktor.

Nadto farsy, baśni, opery i operetki, melodramatu, szopki, widowiska, pastelu scenicznego, szkicu, obrazu i t. d.

Dyrektor.

Co? aż tylu rodzajów?

Aktor.

Wszystkich: męskich, żeńskich i nijakich.

Dyrektor.

Pan widzę kpisz sobie na dobre?

Aktor.

Ja? w tak ważnej chwili?

Dyrektor.

Więc na przykład do jakiej partyi operowej głos się pański nadaje?

Aktor.

Do wszystkich bez wyjątku; do sopranu, altu, contra czy subcontra basu.

Dyrektor.

Oszalałeś pan?

Aktor.

Dotychczas nie, chyba później, za co nie ręczę.

Dyrektor.

Więc proszę jakąkolwiek partycję zacząć, n. p. z Halki.

Aktor.

To jest, ja nie śpiewam nigdy, bo wie pan, trochę słuch słaby, a głos nieco dyssonuje, ale to niebardzo razi, gdy n. p. coś pod nosem nuce.

Dyrektor (*ostrzej*).

Więc nie śpiewasz pan? Dość tego! (*Wstaje*).
Proszę mnie opuścić.

Aktor.

O! jak tak koniecznie, to natychmiast! (*Drze się niemożliwie*). „Gdyby rannem słońkiem“

Dyrektor (*zatyka uszy*).

Ach, przestań pan!

Narcyz (*do dyrektora*).

Panie dyrektorze, nawet Gębarzewska tak nie zaśpiewa.

Dyrektor (*do aktora*).

A z komedyi n. p. Fredry, może pan co umiesz?
n. p. Cześnika?

Aktor.

Na pamięć trudno — tego się przecież nie wymaga.

Dyrektor.

Jakto?

Aktor.

A pocóż, jeśli egzemplarz przed nosem...

Dyrektor.

A z Szekspira lub Moliera?

Aktor.

Ta sama racya, panie kochany; wszystko jedno, czy Szekspir czy Molier, kiedy wszystko drukowane czarne na białem.

Dyrektor.

A z tragedyi tak samo?

Aktor.

Rozumie się; hołd pańskiej domyślności!... To zupełnie zbyteczne.

Dyrektor.

Cóż więc do licha pan umiesz?

Aktor.

Sam obecnie nic, ale przez drugich wszystko.

Dyrektor.

Więc jak śmiałeś pan twierdzić, że jesteś aktorem?

Aktor.

Panie łaskawy, od najniższych szczebli rozpoczynam moją karierę: jestem obecnie artystą — suflerem!

Dyrektor.

Suflerem?! a w liście, coś pan pisał?

Aktor.

To się pokazać może, że i aktorskie mam zdolności.

Dyrektor.

Tu niema czasu na tego rodzaju eksperymentu: idź pan do szkoły dramatycznej.

Aktor.

A z suflerstwem jak będzie? Wszak do tego ani szkoły ani próby nie trzeba!

Dyrektor.

Czytać pan, sądze, umiesz.

Aktor.

Wybornie: tak pisane, jak i drukowane.

Dyrektor (*wstaje*).

Żegnam więc.

Aktor.

Zatem przyjęty?

Dyrektor.

Przyjęty.

Aktor.

Kiedy?

Dyrektor.

Jutro.

Aktor.

Serdeczne dzięki, więcej mi nie potrzeba! Do usług wodzu i mistrzu! oddany ci na wieki sługa arcykapłana sztuki.

(Chce wyjść drzwiami do gabinetu).

Dyrektor.

Panie! nie tędy.

Aktor.

Ach, przepraszam.

(W posuwistych uklonach wychodzi do przedpokoju).

Scena 4.

Dyrektor i Narcyz.

Dyrektor.

Pozbyłem się wreszcie tego warchoła! oto kandydaci do przybytku Melpomeny! Nie zbywa mu jednak na obrotności: nie z jednego pieca ten szarlatan chleb jadał; pewnie, że i suflerem mógłby być, gdyby można liczyć na taki charakter.

Narcyz.

Panie dyrektorze, wierzaj mi, przyda się.

Dyrektor (*siada i zaczyna nucić*).

„Jam był niegdyś dziad z pradziada
Pra-prajaśnie oświecony;
Zgasła jasność, trudna rada,
Jam do pracy nie stworzony.
Dłoń, co dziś po grosz wyciąga,
Starła setki do szeląga“.

(*Bis*).

(*Podczas tego aktor wszedł znowu do gabinetu, przebrał się szybko za murarza: wdział fartuch, kaszkiet, wąsy przyprawił, chustką czerwoną podwiązał szyję, nos poczerwienił, worek z rupieciami wziął na plecy, poczem puka do drzwi kancelaryj z przedpokoju*).

Scena 5.

Dyrektor, Narcyz i aktor.

Dyrektor.

Oho! nowy kandydat! Kto tam?

Aktor.

Jo!

Dyrektor.

Proszę.

Aktor.

Hę!

Dyrektor.

Kto tam?

Aktor.

Komedyjant. (*Wychyla głowę przez drzwi: twarz udaje pijacką, rozkosznie uśmiechniętą, pakuje się niezgrabnie do pokoju*).

Dyrektor (*zrywając się*).

Zamykać! zostać tam! tu niema nic do roboty!

Aktor.

He? głośnij, głośnij! bo ci mi szumi a gra furt we łbie, tylko tańcować (*podryguje*).

Dyrektor.

Tu niema żadnej roboty murarskiej.

Aktor.

He, he, he, a bo ja tyż nie na robotę tu włoż; niema głupich, u nos strajki jeden za drugim, ino pijemy a klniemy na te burżuazy stańczyki, a śpiewamy aże się trzensee. (*Śpiewa po pijacku*). „Krew naszą leją katy, nadejdzie dzień zapłaty, syndziami bendziem my! nasz standar je czerwony. (*Podnosi wór w górę*). Niesie on zemsty grom, bum, bam, bum!“ ... Ha! ha! to ci frajda, panie drechtur, raj ci będzie na ziemi, raj! wyrżniemy wszycko pa-skudztwo! wos tylko zostawimy, komedyjanty, bo wy nasze kamraty, (*śmieje się*) próżnioki, hycle jak i my, a letko se żyjecie, choroby, dej pyska! (*Chce go objąć i pocałować*).

Dyrektor.

A to komitywa! (*Odręca go*). Precz opoju!

Aktor.

A co ta gworzycie pod nosem panie drechtor, he? głośnij! głośnij! (*tupie nogą i nadstawia ucho*) bom głuchy, nie żałuj głosu dyrektorze lo towarzysza!

Dyrektor.

Jak się nie wyniesiesz, policyi zawołam!

Aktor.

No, no, a cóż to pon nie jest drechtor od kome-djantów? nie rozpisałeś to pon po naszych gazetach? nie czytał to Mękalcki, a Zawijacz, a Ferdyk?

Dyrektor.

Ogłosiłem, że potrzebuję aktorów, nie murarzy.

Aktor.

A murarz to nie boskie stworzenie? To nie może już być kumyndjantem? Co? My wszyckim bedziemy, co jino chto chce. Nic się przed nami nie ostoi. (*Śpiew*).

„Syndziami wtedy bedziemy!
Drechtorami bedziemy!
Dalej winc nieśmy śpiw...“

Dyrektor.

Jak ten Józef mógł wpuścić takiego szoldrę!

Narcy z (*czyszcząc karabełę*).

Miarkujcie się, panie majster, mówicie z samym panem dyrektorem.

Aktor.

A jo jestem jaktorem.

Dyrektor.

Pijak!

Aktor.

O! tobym zagrał jak prawdziwy pijak, chciałem dzisiaj trzeźwiuteńki, bo nicem panie dyrektor jeszcze nie przepuścił przez gardło, na moje sumienie, bo to człek bidny. *(Coraz czulej i żałośniej)*. Ciężko pracuje a nima za co... Ledwo na życie, ledwo na okrycie wystarczy; a w domu i żona i macierz żonina i dziadek i ciotek pare, a pendraków kilkoro, a wszystko gęby otwarte, a łakome, a żyrne, toć napchać trza, a któż to zrobi jak nie jo, bidne człeczysko! Oj, ciężko panie dyrektor, na świecie! *(Placze a z podelba patrzy jakie wrażenie robi)*.

Narcy z *(do dyrektora)*.

Dać mu parę centów, a pójdzie sobie.

Aktor.

Oj, źle ponie drektor, tom si już na te głupie wasze kumedyje okfiarował, bo może co wincyj zarobie.

Dyrektor *(do siebie)*.

Łajdak, pijanica, myśli, że we mnie może litość obudzi.

Aktor *(nagle)*.

Co? jo łajdak, pijanica? *(Zamierza się.)*

Dyrektor *(krzyczą)*.

Narcyzie! Józefie! wołaj policyanta.

N a r c y z (*w oknie krzyczy*).

P o l i c y a n t !

A k t o r (*zmienionym głosem*).

Nie trzeba, nie trzeba, nie bój się, czcigodny dyrektorze komedyanta, on sam pójdzie, a na ostatek ci rzecze: twardy, nieużyty człowiecze! (*Wybiega*).

D y r e k t o r .

Co? Nie rozumiem, to jakaś mistyfikacja! — udawał widzę pijaka! któżby to był? to nie prosty murarz? to dziwne! — w każdym razie nie źle odegrał ktokolwiek był... Narcyzie, pošlij no Józefa za tym murarzem, — niech idzie za nim, pewnie jeszcze na dole go spotka, — niech idzie ostrożnie, patrzy dokąd pójdzie, — zapisze numer kamienicy.

(*Narcyż wychodzi*).

Scena 6.

Dyrektor (sam).

D y r e k t o r .

Kto to mógł być? Ręczę, że to kawał jakiejś pierwszorzędnej siły rozbitego teatru warszawskiego. Niestety, nie znam ich wszystkich. Lecz jeśli rzeczywiście jest artysta, to nie na moją kieszeń.

(*Podczas tego, aktor w gabinecie przebiera się za poetę. Wkłada długą perukę, pelerynę, twarz pudruje, bierze kapelusz, wychodzi na korytarz, i puka do drzwi kancelaryi*).

Scena 7.

Dyrektor i aktor.

Dyrektor.

Czyżby, znowu jaki adept sztuki dramatycznej?
Sypią się jak z czarodziejskiego rogu. — Proszę!

Aktor (*wchodzi: mina poważna, prorocza, oczy na
wzrost przymknięte*).

Posłyszałem ostatni rym „czarodziejskiego
rogu”.
więc wiążąc z nim
rymy nowe,
staję w tym progu
i lutnię
nastrajam mą smutnie,
bo pieśni me blade, grobowe.
Me imię — ból!

Dyrektor.

Przepraszam, z kim mam przyjemność?

Aktor.

O, mistrzu sztuki, artysta cię wita,
pan teatru-ś dyrektorem,
ja chcę być aktorów wzorem,
a jestem zarazem poetą,
o miejsce upraszam przeto.

Dyrektor.

Daruję pan, że nie odpowiadam mową wiązaną:
jestem dyrektorem teatru, aktorów poszukuję, nie
poetów.

Aktor.

Każdy artysta poetą!
Poezya, to piękna krynica przezysta,
zwierciadło boże,
którem się dusza zachwyca,
patrzac na piękno w swym pierwowzorze.

Dyrektor.

Ha, być może,
I ja już rym mój dołożę,
więc panie aktorze,
kształcony na takim pierwowzorze,
pokaż, co twa zdolność może.

Aktor.

Nastroje! nastroje!
cierpienia, boleści,
to życie moje;
me ucho
niemi się pieści,
choć wszędzie głucho.....
ja słyszę je!...
wciąż ziemię żre
ból! ból! nieprzecierpiany!.....
(Tragicznie). Słyszysz kruki?... wrony?.....
patrz! świata ścierwo
rozerwą! rozerwą
go między siebie!
zatańczą, zatańczą
wraz na pogrzebie
naszym!.....
Mniemacie, że jeno was straszym?
Słyszysz, idą poprzez światy?
pod szpitalem obłąkanych
idą, idą, idą!.....
Oni myślą, że to kwiaty,
a ohydą

wszystkie one
ozłoczone.

W wian się wija
ich miliardy,
w łańcuch twardy,
w koło krąży,
wiążą dusze, serca wiążą,
zakuwają,
w wir szalony
porywają!
I już kwiatów żądła szpony
ssą ich krwie,
a szalony szpital goni
w jądów woni,

 w śnie.....
Tak na świecie,
w tym szalonym dziś balecie:
tragizm, zgroza, ból a szal!.....
(*Gwałtownie.*) Stójcie przebóg! bryły ciał!
Jam nie lepszy, ale widzę, że wy czarni
 jak szatany!.....

(Innym tonem spokojnym.)

A tam! cisza bez odmiany.....
Z tej trupiarni
patrzą mgłą
łzy ciekące;
czują kędyś, kędyś, słońce.....
— —tu człek; ból! — —
lub bólu król!...

Dyrektor.

Wspaniale! improwizacja widzę! treść formę
rozpiera, niezbyt się wiążą myśli i rymy. ale tak na-
pisać to, a dać wytrawnemu krytykowi do poprawy.

to sędzę, że efektby zrobiło, choć niewiem, czy zrozumiany.

Aktor (*z ironią*).

Tak niestety!
nas ludzie nie rozumieją,
myślą, że to są ciasta na wety,
gdy wieszczę łyżę krwawę leją.

Dyrektor (*z udaniem współczuciem*).
Oh, niestety, taki to los poety.

Aktor.
Więc możeż liczyć na pańską trupe?

Dyrektor.
No, wie pan... tak stanowczo — na razie, hm...
przrzekać trudno, bo widzi pan...

Aktor.
Brak talentu?

Dyrektor.
Nie powiem, ale w tym wypadku tak nagle...

Aktor.
To możebym jeszcze co mógł wygłosić. ja chętnie zaczekam, może pilne sprawy...

Dyrektor.
O! tak, panie, bardzo pilne, bardzo!

Aktor.
Może tu jest poczekalnia, ot pokoik pewno...
Ja najchętniej zaczekam, choćby i do wieczora.



Dyrektor.

Aż tak dalece pan będzie cierpliwy?

Aktor.

Bez granic, panie: wszystko — dla sztuki!

Dyrektor.

No to proszę tu do gabinetu, są tam książki na stole, jak będzie czas, dam znać.

Aktor.

Jak najserdeczniej dziękuję.

Dyrektor.

Proszę bardzo!

(Aktor wchodzi do gabinetu, dyrektor zamyka za nim drzwi).

Scena 8.

Dyrektor i Narcyz (wraca).

Narcyz.

Ciekawa rzecz; Józef zamiata właśnie przed bramą i nie widział, aby jakiś murarz tu wchodził lub wychodził. Poszedł jednak rozglądnać się za nim i popytać....

Dyrektor.

Dobrze, ale wiesz co — jest tu znowu jakiś mente captus; widocznie z domu waryatów się wybrał, bo ciągle o waryatach i szpitalu gada; nie brak talentu poetyckiego — cóż, kiedy chaos w tych my-

ślach bez sensu, bez ładu. To niebezpieczne indywidua, najlepiej im ustępować, bo uczuciowość i poezya furię łatwo przywieść może.

N a r c y z.

A czegoż on tu chce?

D y r e k t o r (*nadsłuchuje przy drzwiach*).

Cicho! Jak tylko wróci Józef, poszlę go zaraz po wóz ratunkowy.

(W czasie tej rozmowy aktor znowu się przebrał w gabinecie, rzekomo za swego ojca urzędnika: na głowę włożył perukę trochę lysą, wdział długi surdut, wąsy i brodę dłuższą przyprawił, wychodzi do przedpokoju i puka do kancelaryi).

Scena 9.

Dyrektor, Narcyz, aktor.

D y r e k t o r.

Kto tam?

A k t o r (*wpada i trzęsąc się ze złości mówi do dyrektora*).

Czy to pan dyrektorem?...

D y r e k t o r.

Z kim mam przyjemność?

A k t o r.

O! przyjemności pan ze mną mieć nie będziesz; scenę panu wyprawię, ale nie teatralną, tylko rzeczywistą.

Dyrektor.

Zapominasz się pan widzę, lub zmyliłeś drogę; proszę o nazwisko i wyjaśnienie swego niewłaściwego zachowania się.

Aktor (*mówi szybko*).

Wyjaśni ci się zaraz, panie dyrektorze. Nazwisko ci znane, bo jestem ojcem tego nicponia wierszoroba, błazna teatralnego, którego pan na hańbę całej naszej rodziny chcesz zwerbować do swej budy histryonów, kuglarzy, wyrzutków społeczeństwa, których jesteś naczelnikiem i mistrzem!

Dyrektor (*krótko, w gniewie*).

Panie! Panie! cofnij pan zaraz te napaści, ten policzek, bo zrewanżuję się natychmiast!

Aktor.

Ja nie cofam nigdy mych słów! Pan go zaangażował? gdzie on jest?

Dyrektor.

Nie zaangażowałem.

Aktor.

Co? nie przyjąłeś pan? a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Cofam wszystko i najmocniej przepraszam pana dobrodzieja; daruj pan, bo ojcowskie serce, gdy wzburzone, zapomina o wszelkiej etykiecie; pan mię rozumie, pan artysta, czułe serce...

Dyrektor.

Rozumiem.

Aktor.

Tak, wyście kapłani tego uroczego przybytku sztuki, do was ma dusza się rwie, arkana zakulisowe wabią mię, bo jakież nasze życie, panie dyrektorze? Wy wśród ideałów, a u nas szara rzeczywistość, szarzyzna. Wejść, proszę, w moje położenie, a łatwem ci to będzie, bo wy tylko żyjecie uczuciami drugich. W kancelaryi naszej stopy podań, chaos liczb i suchych paragrafów, a w domu piekło, synalek kochany, o którym spokojnie pomyśleć nie mogę, wszystko przepuszcza z podobnymi sobie lampartami, blagier, nie skończył żadnych szkół, a teraz udaje literata, pozbierał bez sensu rymy z tych dzisiejszych wierszokletów, produkuje się nimi, i próbuje czy jakiego głupca nie znajdzie, co by go za geniusza ogłosił. Panie dyrektorze, jeśli tu jeszcze nie był, to spodziewaj się, że przyjdzie — ale go nie przyjmuj, bo to lajdak ostatni, bez charakteru, bez woli, egzystencja wykolejona, jedynie koniak go podtrzymuje.

Dyrektor.

O! bądź pan spokojny! Nie chwaląc się, znam się na ludziach, więc i na nim się poznam.

Aktor.

Natomiast, arcymistrzu czcigodny, przychył się do mojej prośby, i mnie przyjmij do swego teatru na lekkiego amanta.

Dyrektor.

Coo? Paana?

Aktor.

Tak mnie! Tyś mój — ostatnia deska ratunku, inaczej zginę marnie.

Dyrektor.

Przyznam się panu, że mnie to mocno dziwi, po tych słowach, któreś na wstępie wygłosił o hańbie w rodzinie i t. d.

Aktor.

Panie dyrektorze! Nie bierz pan tego na seryo, od dziecka marzyłem o scenie! To była próba, co potrafię. Zresztą ostatnie me słowa! (*wstaje*) nie ruszę się stąd! chyba na marach mnie wyniesiecie! Muszę być przyjętym! Albo doczekasz się pan sceny okropnej.

Narcyz (*do dyrektora*).

Jak widzę, to i ten się wyrwał od czubków!

Dyrektor (*zły już, wstaje nagle*).

Dobrze, przyjmujemy pana, rozumie się, że przyjmujemy! Taki artysta, to zaszczyt dla nas.

Aktor.

A! to rozumiem! To mi się należy.

Dyrektor.

Proszę tylko na chwilę do gabinetu, ja tymczasem poradzę się z reżyserem. (*Pokazuje na Narcyza*).

Aktor.

Panie, ująłeś mnie zupełnie tym czynem, dzięki stokrotne. (*Uklony*).

Dyrektor.

Bardzo proszę. Bardzo proszę. (*Otwiera drzwi do gabinetu i prędko zamyka*).

Scena 10.

Aktor, dyrektor i Narcyz.

(W gabinecie aktor udaje głos poety i ojca, hałasuje, krzyczy, a przez ten czas przebiera się za swego dziadka, wkłada siwą perukę, przyczepia krótką białą brodę i zarzuca bundę).

Aktor *(głosem ojca).*

Ty tu? *(Głosem poety).* A tu. *(Głosem ojca).* Widzisz, żem cię znalazł! Ty nicponiu, hańbo naszego imienia! Zakało rodziny! czekaj, ja cię tu nauczę, ty pajacu jeden, bruko-tłuku! *(Udaje bicie. — Dyrektor i Narcyz śmieją się).*

Aktor *(głosem poety).*

O jej! o jej! cóżto sobie ojciec myśli?! że ja dzieciak? Cóż sobie ojciec myśli? Ja się nie boję, ja mam już kontrakt w kieszeni.

Aktor *(głosem ojca).*

Co? ty masz kontrakt, tyś przyjęty? *(Głosem poety).* Tak, bom artysta i poeta, do tegom młody, a ojciec co? *(Głosem ojca, uspakajająco).* Cicho bądź nicponiu, słyszysz?

Dyrektor.

A to komedia, to się dobrali!

Narcyz.

Panie dyrektorze, brać ich obu, na sumienie! nie pożałuje pan.

Scena 11.

Dyrektor, Narcyz i aktor.

(Aktor przebrany, puka z przedpokoju).

Aktor *(wchodząc zgarbiony, mówi dobrodusznie, głosem drżącym).*

Pukam i pukam, ale tu zgiełk straszny u pana dyrektora, więc wchodzę, bo trudno staremu tak stać pod drzwiami.

Dyrektor.

Ach, przepraszam pana dobrodzieja! proszę, bardzo proszę, istotnie hałas był, bo widzi pan.... tak to bywa... ot próba teatralna.

Aktor.

Ależ tak straszne krzyki, jakby ze skóry obdzierano kogo, to okropne, panie dyrektorze!

Dyrektor.

Proszę usiąść, proszę się uspokoić.

Narcyz *(podaje krzesło i pomaga mu spocząć).*

Aktor.

Usiądę, usiądę, bo od boleści ledwom żyw, panie czcigodny.

Dyrektor.

Cóż, jeśli wolno zapytać?

Aktor.

O, srogi krzyż pański na moich barkach a udźwigać trudno, bo to wiek, panie, wiek.

Dyrektor.

A ileż pan sobie lat liczy?

Aktor.

Dopiero 91 i pół.

Dyrektor.

O, ubolewam bardzo! proszę, bardzo proszę wynurzyć mi co jegomości dolega, a jeśli w mej mocy, to wszystko uczynię...

Aktor.

O tak, pan tylko możesz otrzeć moje łzy. (*Placzkliwie*). Nieszczęście rodzinne! Nieszczęście! Syn mój jak wiadomo...

Dyrektor.

Jeszcze nic nie wiadomo!

Aktor.

Nie wiadomo? Ha! to powiem. Syn mój, urzędnik poważny, ojciec dzieci, porzucił swoje wysokie stanowisko, dom nieskałany i puścił się na hańbę naszego rodu! na ostatnie łajdactwo i na pośmiewisko! Wystaw sobie, kochany panie, drapnął do teatru na komedyanta.

Dyrektor.

Czy być może? na komedyanta? to prawdziwie straszne!

Aktor.

O! tak panie, tak, to niezmaszana plama! To poślódź! opuścić żonę i dzieci a właściwie syna jedy-naka, a mojego wnuka, dziecię anioła, nadzwyczajnego talentu: to geniusz, panie, ten chłopak. to Mic-

kiewicz drugi. Mój niegodny syn niewart być ojcem takiego dziecka! A ja, dziadek na to patrzeć muszę... (*placze*) na starość. (*Wyciera nos z hałasem*).

D y r e k t o r.

Istotnie to dziwne i przykre nad wyraz.

A k t o r.

O! tak panie, to bolesne, ale już go pan podobno przyjąłeś.

D y r e k t o r.

Co? ja? O panie, zbyt dobrze znam się na ludziach, psychologia to moja specjalność, takie indywidualum jak syn pański nam niepotrzebne.

A k t o r.

Więc nie przyjęliście go?

D y r e k t o r.

Pod żadnym warunkiem.

A k t o r.

A, to kamień spadł mi z serca, ale gdzież on się podział — wszak mi mówiono, że tu jest. O! niechbym go ujrzał w cztery oczy... panie dyrektorze! Jabym mu pokazał! Pan wiesz co to żalność ojcowskiego serca, tą laską bym się z nim rozprawił. (*Wynija laską*).

D y r e k t o r.

O, wiem, panie, wiem i zaraz ci pomogę, byś dał folgę swym wezbranyim uczuciom; proszę tylko na chwilę do mego gabinetu.

Aktor.

Najchętniej, mój łaskawco, poczekam i przygotuję się, bo ścierpieć dłużej nie mogę takiego wyrodka!

Dyrektor.

Proszę, bardzo proszę... *(Wprowadza go do gabinetu, aktor wchodzi, dyrektor zamyka szybko drzwi i słucha).*

Scena 12.

Ci sami.

(Aktor w gabinecie udaje teraz poetę, ojca i dziadka, hałasuje i w czasie tego przebiera się za pradziadka: perukę zmienia, przyprawia bardzo długą siwą brodę, na nos wkłada staroświeckie okulary i wdziewa płaszcz z garbem).

Aktor.

Dziadzio tutaj? *(Dziadzio).* Drabie jeden. *(Ojciec).* POCO ojciec tutaj przyszedł? *(Dziadzio).* Ja ci skórę wygarbuję, ty hyclu jeden! *(Słychać uderzenie w twarz, potem łamanie krzesel).*

Dyrektor *(do Narcyza).*

Idź no i zobacz, bo oni się tam jeszcze pozabijają, i będzie z policją awantura.

Aktor.

A możeby Józefa zawołać, aby mieć więcej świadków, a w razie potrzeby i pomoc pod ręką.

Dyrektor.

Rób co chcesz, byle prędko.

(Narcyz idzie do drzwi przedpokoju: równocześnie drzwi z przedpokoju otwierają się i wchodzi aktor przebrany za pradziadka).

Scena 13.

Ciż sami i aktor.

Dyrektor.

A to co do licha? dziad jakiś!

Aktor *(udaje jęk, mówi płacziwie).*

Nie dziadziadziad, ale praprapradziaddek, tego dziadziadka ooojciec.

Dyrektor.

Ha, może jeszcze praprabkę sprowadzicie mi tutaj. *(Daje znak Narcyzowi, by wyszedł i polecenie załatwił. Narcyz wychodzi).*

Aktor.

Prapraprabka już jejedzie.

Dyrektor.

Cóż więc panie pradziadku sobie życzysz?

Aktor.

Po tegom dziadziadka tu przyszedł, co oszalał na na starość i tu do teteatru się zgłosił na zazakałę rorodu mojego.

Dyrektor.

Podobniście, widzę do siebie wszyscy...

Aktor.

A jakżeże nie mamamy być podobni, to ta sama rodzina.

Dyrektor.

A może pradziadek także na aktora się zgłasza.

Aktor.

Nie kpij pan ze stojącego nad grobem prapradziadka, ale pppppuść zaraz do tetego dziadziadka, niech go rozuzumu nauczę.

Dyrektor.

O, najchętniej, nietylko dziadka, ale i wnuka i prawnuka i całą rodzinę. (*Otwiera drzwi do gabinetu*).
Proszę...

(W drzwiach gabinetu staje również Narcyz, który przy końcu tej sceny, ostrożnie z przedpokoju zaglądnął do gabinetu, a nie widząc nikogo, wszedł, patrzy ze zdziwieniem na kostyummy aktora, i zamierza wrócić do kancelaryi, gdy dyrektor drzwi otwiera).

Scena 14.

Dyrektor, Narcyz, aktor.

Narcyz (*do dyrektora*).

Panie dyrektorze, w gabinecie niema nikogo!

Dyrektor.

Jakto? nikogo?

A k t o r.

Nikogo — tylko jakieś obce kostyummy.

A k t o r (*klania się i mówi głosem swoim*).

Apolinary Kawalerski, były artysta dramatyczny teatru w Ozorkowie. Posprzeczałem się z dyrektorem i dostałem dymę. Nie mając zajęcia przybyłem tu i wyczytałem w dziennikach, że pan zakłada towarzystwo. Nieznany, bez rozgłosu, nie wiedziałem jak się panu przedstawić i oto wybrałem ten sposób, by w jednej osobie, stanąć przed panem jako sufler, murarz, poeta, ojciec, dziadek, pradziadek, no i miałem jeszcze grać prababkę...

D y r e k t o r (*podając rękę*).

Powinszować pomysłu i wykonania. Ale żeś mnie pan, starego wróbla, wziął na plewy, nie dam panu więcej nad ośmdziesiąt koron miesięcznie.

A k t o r.

Sto. Mniej nie wezmę.

N a r c y z (*cicho do dyrektora*).

Dać sto. Przecie mu tak wszystkiego nie wypłacimy.

D y r e k t o r (*półgłosem*).

Masz rację. (*Głośno*). A więc niech będzie, jedynie na wstawienie się pan administratora, którego panu zarazem prezentuję.

A k t o r.

Miło mi poznać i uczyć się na waszej taką godność.

(Kłania się — Narcyz, przybrawszy odpowiednią powagę, chrząka i chce powiedzieć coś bardzo imponującego, lecz dyrektor ciągnie dalej).

Dyrektor.

Zgadzam się na pańskie życzenie i setkę obiecuję. *(Podaje mu rękę).*

Aktor.

Mocnom zobowiązany.

Dyrektor.

A teraz do obsady Otella! Za tydzień pierwsze przedstawienie!

(Zastona spada.)





TEATR LUDOWY.

Dotychczas ukazały się następujące tomyki:

1. Rokiczana. Obraz dramatyczny ze śpiewami i tańcami w trzech aktach (13 mężczyzn, 6 kobiet). Cena 80 fen. — 19 egz. (ról) za mk. 10.—

2. Zinartwychwstanie czyli nieboszczyk z urojenia. Kome-

3. Czarny i biały murzyn. Komedya w dwóch aktach (7 mężczyzn). Cena 75 fen. — 7 egz. za mk. 3.—

dya w dwóch odsłonach (10 mężczyzn). Cena 75 fen. — 10 egz. za mk. 5.—

4. Chrześcijanki. Obrazek sceniczny dla ludu w pięciu odsłonach. Wyd. drugie. Cena 80 fen. — 12 egz. za mk. 6.50.

5. Napad bandytów, czyli tym razem jeszcze mu uszło na sucho. Krotochwila w jednej odsłonie (4 mężczyzn). Cena 60 fen. — 4 egz. za mk. 1.75.

6. Fatalna kiełbasa. Krotochwila w jednej odsłonie (5 mężczyzn). Cena 60 fen. — 5 egz. za mk. 2.40.

7. Brzytwa swatem. Obrazek sceniczny w jednej odsłonie (3 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 60 fen. — 5 egz. za mk. 2.40.

8. Prządka pod krzyżem. Baśń ludowa w trzech obrazach (6 mężczyzn, 4 kobiety). Cena 80 fen. — 10 egz. za mk. 5.50.

9. Pogodzeni. Komedya w jednej odsłonie (2 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 65 fen. — 4 egz. za mk. 2.—

10. Kto im łyzy powróci. Obrazek sceniczny w dwóch aktach ze śpiewami (2 mężczyzn, 12 kobiet). Cena 1.— mk. — 14 egz. za mk. 10.50.

11. Pan Chciwski czyli skąpy zawsze dwa razy traci. Komedya w czterech aktach (4 mężczyzn, 5 kobiet). Cena 1.— mk. — 9 egz. za mk. 6.30.

12. Sclavus saltans. (Tańczący niewolnik.) Obrazek dramatyczny w jednej odsłonie z życia starożytnego Rzymu (1 mężczyzna, 14 kobiet). Cena 75 fen. — 13 egz. za mk. 6.50.

13. Córki Syonu. Obrazek sceniczny na czas Bożego Narodzenia w dwóch odsłonach. Wydanie drugie. (1 mężczyzna, 7 kobiet.) Cena 30 fen. — 7 egz. za mk. 1.80.

14. Po dwudziestu latach. Sztuka ludowa w trzech aktach (5 mężczyzn, 2 kobiety). Cena 85 fen. — 7 egz. za mk. 4.25.

15. Rozjemca. Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach z dziejów starożytnej Hellady (1 mężczyzna, 6 kobiet). Cena 75 fen. — 7 egz. za mk. 3.50.

16. Wenancyusz. Dramat religijny w pięciu aktach z czasów prześladowania chrześcijan za cesarza Decyusza (20 mężczyzn). Cena 1.60 mk. — 12 egz. za mk. 13.50.



I 405763

17. Tak jej wami w czterech mk. — 6 egz. za mk. 5,60.

18. Bez ten ś słonach odznacz i Literatów pol Cena 1,— mk. —

19. Dymitr i obrazach. Podług dramatu J. Kotzebiewskiego (7 mężczyzn, 3 kobiety). Cena 1,— mk. — 8 egz. za mk. 5,60.

20. Wesele wiejskie. Sztuka ludowa na tle piosnek ludowych w czterech obrazach z muzyką i śpiewami. Cena 1.20 mk. — 10 egz. za mk. 8,60.

21. Święty Wojciech. Rzecz w trzech aktach. Cena 1.20 mk. — 13 egz. za mk. 11,—

22. Zaczarowany młyn. Komedya w trzech odsłonach. Cena egz. 60 fen. — 9 egz. za mk. 4,—

23. Dla swoich. Obrazek w jednym akcie. Cena 80 fen. — 10 egz. za mk. 6,40.

24. Dwie ofiary. Obraz historyczny. Cena 80 fen. — 9 egz. za mk. 5,75.

25. Bohater eucharystyczny. Dramat religijny w trzech odsłonach z czasów męczeństwa pierwszych chrześcijan. Cena egz. 85 fen. — 15 egz. za mk. 9,50.

26. Do Betleem. Jasełka w dwóch aktach. Cena egz. 75 fen. — 7 egz. za mk. 3,60.

27. Wieczór św. Mikołaja. Obrazek sceniczny w dwóch odsłonach. Cena 25 fen. — 6 egz. za mk. 1,—

28. Król a biskup. Tragedya w 4 aktach ze śpiewami. Cena 2,20 mk., 10 egz. za 16,80 mk.

29. Ogniste węgle. Sztuka w 5 aktach. Cena egz. 2,20 mk. — 16 egz. za mk. 24,—

30. Swaty. Sztuka ludowa w 2 aktach ze śpiewami i tańcami. Cena 1,80 mk. — 12 egz. za mk. 16,20.

31. Radziwił jedzie! Komedyjka w 3 aktach z czasów konfederacji barskiej. Cena 90 fen. — 9 egz. za mk. 6,—

Kwiaty i Kłosa z niwy ojczystej. Zbiór utworów do deklamacji. Cena mk. 1,50. W oprawie mk. 2,—

Deklamator powyższy jest bezsprzecznie najobszerniejszym z wszystkich dotychczas wydanych i ofiarowywanych deklamatorów polskich, obejmuje bowiem 402 stronie druku i zawiera 185 utworów nadających się do deklamacji.

Wybór materiału dostosowany do pojęć i wymagań tych wszystkich, którzy popisywać się lubią deklamacją bądź to w kółku rodzinnem, bądź w towarzystwach lub zgromadzeniach. Obfity materiał daje każdemu sposobność wybrania stosownego utworu w każdej okoliczności.